



**SYLWIA
TROJANOWSKA**

**CÓRKI
CZARNEGO
MUNDURU**



MARGINESY

Niniejsza powieść jest fikcją literacką, jednak pewne zdarzenia i postaci są prawdziwe. Autorka przedstawiła je na podstawie materiałów źródłowych z zachowaniem należytej staranności.

COPYRIGHT © BY Sylwia Trojanowska

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024

Dla mojej Mamy, najdzielniejszej kobiety, jaką znam,
oraz dla moich Chłopców

I

NARODZINY DOBRA

O ŚWICIE WILKI ŚPIĄ

Ingrid Halterman kochała poranki, i to o każdej porze roku. Czuła się wtedy wolna i bezpieczna. Codziennie przed świtem wymykała się z sypialni i cichutko, cichuteńko przechadzała po pokojach domu w Pyritz*. Niemal bezszelestnie. Nie chciała przecież nikogo obudzić – a już na pewno nie jego. Kręciła się wokół stołu, opuszkami palców pieszcząc brzegi blatu. Wirowała po parkiecie i wyobrażała sobie, że tańczy w objęciach zakochanego w niej po uszy mężczyzny.

Podczas tych porannych wędrówek zawsze zatrzymywała się na dłużej w najjaśniejszym pokoju, którego okna wychodziły na ogród i który należał do jej córek. Siadała w fotelu ustawionym pomiędzy ich łóżeczkami i patrzyła to na młodszą białowłosą Sofię, to na starszą od niej o cały kwadrans czarniutką Charlotte. Choć były bliźniaczkami, próżno było szukać podobieństw.

Sofia – silna, czupurna, zawadiacka – śmiała się głośno, a płakała rzadko, nawet nad rozbitym kolanem. Była ciekawa świata i niczego się nie bała, żywo spoglądała na wszystkie zwierzęta: konie i mrówki, indory i jaskółki. Do tych największych wyciągała rączki, jakby były wujkami i cioteczkami. I ciągle gadała w jakimś sobie tylko zrozumiałym języku. Buzia właściwie jej się nie zamykała, także we śnie.

Charlotte stanowiła jej przeciwieństwo. Drobną, cichutką, jakby nieobecna. Wrażliwa, posłuszna, wiecznie głodna matczynych

* Pyritz (niem.) – obecnie Pырzyce.

ramion, z których najchętniej nigdzie by się nie ruszała. Z rzadka nadążała za blondwłosą siostrą. A gdy ta jej pokazywała coś paluszkami: a to kotka na parapecie, a to korale w maminej kasetce na biżuterię, Charlotte spoglądała dopiero po chwili, nieco nieobecny wzrokiem. Często popłakiwała, ale tak cichutko, że czasami nie było jej słyhać.

Dokładnie o siódmej rano Ingrid budziła córeczki i pomagała im się ubrać. Nigdy nie wzywała opiekunki. To był czas tylko dla niej i dziewczynek i nie chciała go z nikim dzielić.

– Dzień dobry, słońca moje – zwykła mawiać na rozpoczęcie dnia. Na jego zakończenie zaś: – Dobranoc, księżycy dwa.

Kochała je całym swoim młodym, matczynym sercem. Każdego dnia dziękowała Bogu za dar macierzyństwa; za kruszyny, których nie chciała, a potem pragnęła tak, że kiedy nie mogła ich powić, wyła nie z bólu, lecz z rozpaczony nad własną niemocą. Doktor Karl Becker, sowicie opłacony, z trudem poradził sobie z przyjęciem bliźniaczego porodu. Nie spodziewał się, że w łonie szczupłej pani Halterman żyły aż dwie istotki. Brzucha nie miała dużego, a osłuchując ją podczas wcześniejszych wizyt, niczego nie odkrył. Być może dlatego, że jego instynkt stępił się zaraz po Wielkiej Wojnie. Wrócił z niej żywy, ale zmieniony. Nigdy nie odzyskał pełni lekarskich zdolności, zapału i iskry, którą wszyscy wcześniej zauważali. Niektórzy mówili, że to przez samotność, inni, że przez leki, które co rusz wyciągał z wewnętrznej kieszeni marynarki. Jego wojenni bracia jednak wiedzieli swoje i niczemu się nie dziwili, bo żaden z nich z tamtej wojny nie wrócił ten sam.

Dopiero gdy w szpitalu odeszły pierworódce wody płodowe, pojął, z czym przyjdzie mu się mierzyć, i posłał po drugiego medyka. Dobrze zrobił, bo sam by sobie nie poradził.

Pierwsze dziecko, choć niewielkie, niespełna dwukilogramowe, odebrał z wielkim trudem, bo po dobre i dwóch godzinach. Rozwarcie długo nie postępowało. Kiedy w końcu pojawiła się główka Charlotte, a następnie błyskawicznie i całe ciało, liczył na szybki

finisz z drugim. Przeliczył się, bo cały świat jakby się sprzysiągł, żeby Sofia zbyt prędko nie ujrzała światła dnia. Najpierw drugi doktor został odwołany do kolejnego skomplikowanego porodu; po nim położna, dotychczas niezawodna, potknęła się – i to tak pechowo, że przewróciła lampę operacyjną, tłukąc ją w drobny mak. Nieoczekiwany chaos rozkojarzył wszystkich, a dziecinę kryjącą się jeszcze w matczynym łonie jakby całkowicie zniechęcił do przyjścia na świat. Mimo starań Beckera, który co chwilę nakazywał przecierać sobie czoło, maleństwo za nic nie chciało się prawidłowo ułożyć. Doktor uciskał brzuch, napierał łokciami, rękoma próbował układać dziecko. W końcu, choć tego nie lubił, bo nie miał dobrych doświadczeń, użył kleszczy, a kiedy wy dobył noworodka, ten był zsiniały i nie płakał.

– Ratować dzieciaka! – rzucił w nerwach Becker do położnej, która wprawnym ruchem przejęła maleństwo. – Kurwa mać! – krzyknął jeszcze i chyba ten krzyk obudził Sofię, bo ryknęła zdrowo, a stary doktor głośno odetchnął.

Sięgnął po szklankę z zimną herbatą i oparł się o ścianę, lecz zdołał wypić ledwie łyk, kiedy usłyszał spanikowany głos położnej.

– Doktorze, z Haltermanową coś nie tak!

△▽▲▼△▽▲▼△▽

Cztery godziny później Becker padł na kanapę w pokoju lekarskim i pomyślał, że już dawno nie miał tak ciężkiego dyżuru. Z ulgą przytknął oczy.

„Oby los jej sprzyjał. Jej i dzieciom” – pomyślał i natychmiast zasnął.

Mąż Ingrid, Wilhelm Halterman, choć na oddziale nie praktykowano odwiedzin, zjawił się w szpitalu zaraz po porodzie i stanął w drzwiach gabinetu Beckera z miną wyrażającą głębokie oburzenie.

– Córkę? – niemal ryknął.

– Tak. Dwie. Dorodne. To była ciąża bliźniacza – wyjaśnił lekarz.

– Jaka? Bliźniacza?

– Tak, podwójna.

– Wiem, co znaczy bliźniacza! – oburzył się Halterman. – Ale jak to możliwe?

– Może pan być zaskoczony, owszem. Nie zdiagnozowałem bliźniaczej ciąży, choć pewne symptomy były. – Stateczny doktor po kiwał głową. – Pana żona jest bardzo młoda i wyjątkowo drobna. Obwód ciążowy, znaczy brzuch, nie był duży, w normie dla pojedynczej ciąży. Nie poznałem się, choć prowadziłem już bliźniacze ciążę, także u pierworódek.

– Czyli to pana wina.

– Nie rozumiem.

– Nie poznał się pan na ciąży. Sam pan powiedział.

Becker uniósł brwi, pochmurniejąc.

– Ma pan uwagi do tego, że ciąża okazała się bliźniacza, a ja tego nie zdiagnozowałem? – zapytał, od razu gestem dłoni sygnalizując, że nie oczekuje odpowiedzi. – A nie ma pan zastrzeżeń do efektu moich działań podczas skomplikowanego porodu, który w rzeczy samej i na dodatek dzięki wielkiemu doświadczeniu zespołu udało się odebrać bez szkody dla dzieci? I nie ma pan uwag do późniejszej poważnej, kilkugodzinnej operacji wysokiego ryzyka mającej na celu ratowanie zdrowia i życia pana małżonki? Bo wykrwawiała się i omal go nie straciła?

– Zasadniczo nie, ale...

– Zasadniczo nie... – zadrwił Becker.

Przyszło mu na myśl, że teraz najchętniej trzasnąłby tego na oko dekadę młodszego idiotę w łeb, żeby się opamiętał.

Solidnie przeklął w duchu.

– U nas w Pyritz – ciągnął niezmiessany Halterman – w pewnych kręgach takie sytuacje się nie zdarzają. Ciążę, te bliźniacze.

– W pewnych kręgach...? – Doktor dopiero teraz pojął intencje mężczyzny. Nie znosił, kiedy ktoś plótł bzdury o tym, że bliźnięta zdarzają się tylko wśród biedoty. – Nonsens. Żadne kręgi nie mają tu nic do rzeczy. Z ostatnich danych wynika, że bliźnięta zdarzają się

raz na osiemdziesiąt porodów. We wszystkich kręgach. W kręgach najwyższych władz także. Proszę to dobrze sprawdzić.

Halterman zrobił kilka kroków w prawo, kilka w lewo, poruszając przy tym ustami, jakby mieli słowa. W końcu przystanął, pochylił się nad sędziwym doktorem i spojrzał na niego groźnie.

– Jest pan pewien, że mówimy o Ingrid Halterman? O mojej żonie?

– Tak. Jestem pewien. Osobiście odbierałem poród.

Wilhelm ponownie przemierzył tam i z powrotem gabinet, po czym wyciągnął papierosa i zapalił. Burknął coś pod nosem.

– Słucham? – zapytał doktor dość protekcyjnym tonem.

– Dziewuch nie chciałem...!

– Córek – poprawił go Becker. – Rozumiem pana zaskoczenie, ale córki to błogosławieństwo.

– Na co mojemu Führerowi baby? Mężczyzn mu trzeba.

– Ależ panie Halterman! Są zdrowe, a to najważniejsze!

– Najważniejsze? – prychnął Halterman. – Powtarzam! Dziewuch nie chciałem! Nie zgadzałem się na nie!

– A co tu się zgadzać czy nie zgadzać? Nie mamy wpływu na płęć dziecka. Poza tym chciałbym nadmienić, że kobiety są potrzebne Trzeciej Rzeszy. Mają zapewnić nowe pokolenia wartościowych Niemców. Tak mówi nasz wódz. U pana będą aż dwie takie kobiety. To wielki zaszczyt.

Halterman machnął ręką i wykrzywił wargi w grymasie niezadowolenia. Zaciągnął się papierosem, po czym wypuścił z ust spory kłąb dymu. Spojrzał przed siebie.

– Chłopaka miała urodzić, nie dziewczuchę, a już na pewno nie dwie. Po to ją wziąłem. A teraz? Teraz będę musiał karmić dwa darmozjady, które nigdy karabinu do rąk nie wezmą, a i nie wiadomo, czy dadzą radę rodzić. Mówią, że te młode nie chcą teraz rodzić, tylko nauka i nauka, na uniwersytety się rwą.

Becker zrozumiał, że z Haltermanem nie ma sensu dyskutować. Niczym by go nie przekonał do zmiany zdania. A przecież urodziły

mu się, nie bez trudu, ale dwie zdrowe córki. Toż to błogosławieństwo... W trakcie swej praktyki poznał tyle kobiet, które za choćby jedną zdrową kruszynę oddałyby wiele, a może i wszystko. Może i cały majątek albo własne życie. Przyjmował pacjentki, które marzyły o dziecku, ale nie dane im było zająć w ciążę lub szczęśliwie tę ciążę donosić. I znał mężów tych pacjentek, którzy rwali sobie włosy z głowy, kiedy kolejny raz się nie udawało. Wystawali przed szpitalem, paląc ze zgryzoty jednego papierosa za drugim. Klęli na głos, ciskali gromy, bili gołymi pięściami w ceglany mur; niektórzy zamykali się w sobie przed światem i własną żoną, oddzielając się ścianą milczenia. Byli też tacy, którzy odchodzili, porzucali żony i szukali nowych, które dałyby im upragnionego potomka.

– Mam inne zdanie, ale... Jest jeszcze coś, o czym powinien pan wiedzieć. – Becker odważnie spojrział Wilhelmowi w oczy. – Jak wspomniałem, ratowaliśmy życie pana żony. Stan był ciężki. Doszło do komplikacji i... pani Halterman nie będzie mogła mieć więcej dzieci.

Wilhelm dziwnie zareagował. Przeklął pod nosem, jakby się wzburzył, ale doktorowi zdało się, że dostrzegł na jego twarzy cień satysfakcji.

– Najważniejsze, że uratowaliśmy pana żonę – tłumaczył dalej. – I że oczywiście ma pan dwie córki. Zdrowe.

– Spierdalaj pan z tymi córkami! – Halterman zamachnął się pięścią na doktora, ale tuż przed jego twarzą wycofał się z zamiaru zadania ciosu. – Oddałbym dziesięć bab za jednego chłopaka. Setkę cór bym oddał. Razem z ich matką, byle tylko syna mieć.

– Niech pan tak nie mówi. Nerwy przez pana przemawiają.

– A pewnie, że nerwy! Jak mam się nie nerwować, skoro takie wieści pan żeś przyniósł! – Znowu siarczyście zaklął. – I pomyśleć, że nawet się pomodliłem o syna.

– Słucham?

– Pomodliłem się... – Wziął ostatniego macha i cisnął petem przez okno. – Nie wierzę w Boga, za dużo w życiu widziałem, by

ufać jakiejś opatrności. Ale ostatnio zatrzymałem się przy kapliczce, przy posątku tego bożka na krzyżu, przed którym klękają dewotki – wydał pogardliwie usta – i powiedziałem do niego, żeby się postarał i zrobił... No żeby chłopaka dostał. Przecież mówią, że on wysłuchuje prośb. Na wojnie, w okopach, prawie każdy się modlił – zacisnął szczęki. – Nie wysłuchał mnie... – rzucił z pogardą. – Ten bożek... Pieprzone zabobony...

Karl Becker znieruchomiał. Ileż pychy było w Haltermanie, ileż przerażającej pogardy!

– Panie Halterman... – Zwilżył wargi i wyprostował się przesadnie. – Pana żona ledwo przeżyła poród. Teraz musi trochę odpocząć. Przed nią trudny czas.

– Da radę. Sam pan mówiłeś, że kobiety są do tego stworzone. Moja świętej pamięci pierwsza żona Hilde nie miałaby z tym problemu. I na pewno powiłaaby chłopaków. W jej rodzinie i w mojej same chłopaki. Mocna krew, tak mówili mój dziad i ojciec... A mocna krew daje tylko chłopaków. Słaba, wiadomo, dziewczuchy.

Becker bardzo rzadko posuwał się do nadużyć i kłamstw, ale teraz przyszło mu to samo, naturalnie.

– Najnowsze wyniki badań z Berlina dowodzą, że płeć dziecka najbardziej zależy od dawcy nasienia, od ojca dziecka.

Wilhelm uniósł brwi, jakby nie dowierzał słowom doktora. Zmarszczył czoło i przez chwilę milczał. Potem nagle sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął fotografię. Zawachłował nią przed oczami doktora.

– To są moi bracia, ojciec i jego bracia, kuzynowie i bratankowie. Żadnych dziewczuch! Tylko mocarni mężczyźni, synowie narodu! – niemal krzyczał. – Oświecę pana, bo być może pan nie wiesz, ale wszyscy, prawie całą rodziną, walczyliśmy dla sprawy, w Wielkiej Wojnie. Zgłosiliśmy się na ochotników. I walczyliśmy. I...! I...! – Przełknął ślinę. – Wielu z nas ucierpiało, wielu straciło życie. Moja mężna, ledwo poślubiona żona Hilde została tam, na tej brudnej francuskiej ziemi...

Słowa Wilhelma nie były dla Beckera zaskoczeniem. Każdy w Pyritz i okolicach znał historię Haltermanów. Jako jedni z pierwszych całą rodziną zgłosili się jako ochotnicy na wojnę. W kilkadziesiąt osób wyruszyli tuż po hucznym weselu niespełna dwudziestoletnich młodych, Wilhelma i Hilde. Wrócili nieliczni, garstka raptem, i to piekielnie pokiereszowani. Wilhelm bez nogi i z wielką blizną od kolana po pępek. Z braci żaden, wuj – bez oka. Niektórzy bez ran na ciele, za to z umysłem tak zwichrowanym, że dogadać się z nimi było trudno. Hilde też zginęła, choć walczyła na tyłach. Rozerwała ją bomba. Nawet szczątków nie dało się pozbierać. W symbolicznym grobie w Pyritz złożono trumnę bez ciała. Z obrączką Wilhelma i ślubną suknią Hildy.

Wilhelm z całej rodziny wyszedł z tej wojny najlepiej. Zaskakiwało to wszystkich, bo spodziewali się, że będzie wrakiem, bez woli do życia. A on, kiedy tylko wydobrzeł, bo rany długo mu się goiły, nauczył się chodzić na drewnianej protezie; nieoczekiwanie zaczął działać i... stał się innym człowiekiem. Wcześniej zapatrzony w starszych braci, zawsze z tyłu, niepewny, teraz szedł pierwszy, na nikogo się nie oglądając. Nie bał się mówić, dopinać swego, planować. Sprzedał trochę rodzinnych kosztowności i zakupił bydła najlepszego gatunku, wybudował oborę i okazałą stodołę. Niektórzy mówili, że napatrzył się na to we Francji, że to tam dostrzegł potencjał w zwierzętach gospodarskich, ale on nigdy do tego się nie przyznał. Prawdą jednak było, że dzięki temu w trzy lata podwoił swój majątek. W mieście kłaniali mu się nisko, niektórzy wręcz w pas, szczególnie ci, którzy w kontaktach z nim wietrzyli szansę na zarobek. Jego status rósł, a w pewnym momencie ktoś rzucił hasło: „Halterman na burmistrza”. I być może za jakiś czas Wilhelm tym burmistrzem by został, być może stanąłby na czele Pyritz. Ale wtedy demony wojny upomniały się o niego. Jednej niemożliwie deszczowej jesieni Wilhelma zaczęły nękać koszmary; przestał sypiać, a nocami szlajał się z podejrzanymi typami i pił do nieprzytomności.

– Tak czy owak, pana żona musi jeszcze zostać na obserwacji – dodał doktor. – Córki również. Rokowania są dobre. Proszę więc przygotować się na przyjęcie dwójki dzieci, nie jednego.

Dopiero teraz dotarło do Wilhelma, że będzie musiał poczynić dodatkowe zakupy, przeorganizować dziecięcy pokój, wynieść z niego chłopięce zabawki i kupić... lalki. Wzdrygnął się, a potem nieoczekiwanie wypłuł z siebie wiązaną przekleństw. Siarczystych i całkiem nienaturalnych, nawet jak na niego.

– Proszę ściszyć głos – przerwał mu Becker. – Jesteśmy w szpitalu. Tu ludzie potrzebują spokoju.

Halterman poczerwieniał na twarzy, zamrugał nerwowo, przygryzł wargę i zbliżył się do doktora tak, że ten poczuł intensywną nutę wody kolońskiej.

– A ja panu zapłaciłem – wysyczał. – Zwrócisz mi pan wszystko... Co do marki.

Becker wytrzymał jego gromiące spojrzenie.

– Szczerze mówiąc, powinienem zażądać dodatku – odparł chłodno. – Zapłacił pan za jeden poród, nie za dwa. I na pewno nie za ratowanie małżonki.

Wilhelm zmielił w ustach kolejne przekleństwo i wypuścił głośno powietrze niczym rozjuszony zwierz. Nagle odwrócił się i skierował do wyjścia. Kiedy zniknął za drzwiami, Becker odetchnął, opuścił ramiona i odruchowo zerknął w lewo. Przez szczelinę w drzwiach dostrzegł siedzącą na łóżku Ingrid Halterman i zrobiło mu się potwornie głupio. Musiała wszystko słyszeć.

Poszedł do niej i pocieszycielsko poklepał po dłoni. Chciał, naprawdę chciał powiedzieć coś na uspokojenie, ale ona odezwała się pierwsza:

– Dokonał pan cudu, doktorze. I za ten cud będę panu wdzięczna do końca swoich dni. Żadna ciemna chmura mi go nie przesłoni. Żadna. Również taka o ludzkim kształcie. – Na jej twarzy pojawił się błady uśmiech. – Może i nie wyglądam, ale sporo już przeżyłam i wiem, że my, ludzie, jesteśmy dla siebie największymi wrogami. Bo

czy widział pan kiedyś psa, który zraniłby człowieka słowem? Albo wilka?

Becker ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Proszę odpoczywać, pani Halterman.

Ingrid spojrzała w okno. Kiedy doktor był już w drzwiach, zapytała jeszcze:

– Kiedy przyniosą mi dziewczynki?

– W swoim czasie. Rana musi się dobrze zasklepić. Teraz nie wolno pani niczego dźwigać.

– Doktorze... – jęknęła.

– Nie ugnę się, proszę mnie nie podchodzić. – Pogroził jej żartobliwie palcem. – Prawie ducha pani wyzionęła.

– Złego licha nie bierze – rzuciła z uśmiechem, a Becker pomyślał, że w tej drobnej kobiecie próżno szukać zła, za to w jej mężu dałoby się znaleźć pełny sagan.

Δ▽▲▼Δ▽▲▼Δ▽

Następnego dnia Ingrid Halterman ponownie domagała się przyniesienia córek i ponownie jej odmówiono. Dopiero po tygodniu zaczęto przynosić jej Charlotte i Sofię do karmienia, a ona z poświęceniem wdrażała się w nową rolę – w rolę matki.

Wychodziło jej to wyjątkowo udanie. Położna była zadowolona. Wystarczyło, że raz, góra dwa razy pokazała Ingrid, jak dziecko przyłożyć do piersi, jak je przewinąć, jak masować brzusek, kiedy wije się z bólu, a ona zapamiętywała i dawała radę. Z dwójką! Kobieta nie musiała jej wiele pomagać, choć na początku samej nie zostawiała. Była sownie opłacona przez Haltermana, czuła się więc w obowiązku.

Δ▽▲▼Δ▽▲▼Δ▽

Kiedy po czternastu dniach Ingrid wraz z dziewczynkami wróciła do domu, nie zastała w nim męża. Przez kolejny rok znikał zresztą regularnie, tłumacząc przedłużające się wyjazdy obowiązkami wo-

bec Rzeszy. Ingrid nie była naiwna i zdawała sobie sprawę, że na liście zadań nie znajdowało się zabawianie kobiet, a przecież czuła damskie perfumy na jego koszulach, widziała ślady po szminkach i pudrach na kołnierzykach. Ale nie pytała; znała swoje miejsce i starała się kochać Wilhelma na tyle, na ile umiała. Przede wszystkim była mu oddana – w każdej sferze życia. Kiedy chciał zjeść z nią śniadanie, przychodziła. Kiedy zapragnął spaceru, zjawiała się. Gdy potrzebował się powymądrzać, słuchała. A kiedy zaczynał krzyczeć, przyjmowała na siebie wszystkie słowne razy. Znosiła jego chłód, brak czułości, dotyku, namiętnego pocałunku. Marzyła o nich, ale upływający czas powoli pozwalał godzić się z myślą, że nie wszystko od Wilhelma dostać może i że musi się cieszyć z tego, co jej ofiarował. Dał jej przecież tak wiele, tak niewyobrażalnie wiele. Uchronił przed hańbą i przed wytykaniem palcami. Uratował jej godność, bo przyjął ją pod dach, gdy była brzemienna.

TOPIELICA ZE STAWU, PANI Z DWORKU

Wcześniej

Podczas gdy w lokalnej prasie nadal fetowano wodowanie pancernika Scharnhorst, uznając je za ogromny sukces Kriegsmarine*, Wilhelm Halterman świętował osobisty sukces.

Uratował z toni młodziutką Ingrid Frommhagen.

„W końcu...” – westchnął w myślach, bo czuł, że jego marzenia o tym, by być bliżej niej, by ją zdobyć i zawłaszczyć, zaczęły się spełniać.

Zalana łzami, z pustym wzrokiem, dygocząc na całym ciele, dziewczyna wyglądała tak, jakby chciała się utopić. Wilhelm nie bez trudu wyciągnął ją z wody, opatulił lichym kożuchem, który zostawiła na brzegu, na wpół przytomną wziął na ręce i zaniósł do samochodu. Ważyła tyle co piórko (cięższy był chyba sam kożuch), a Wilhelm, choć z drewnianą nogą, dał radę. Dałby zresztą, gdyby ważyła dziesięć kilo więcej, bo chciał.

Jakże ona mu się podobała! Mimo że taka blada, splakana i mizerna, z posklejanymi włosami i opuchniętymi oczami. Od kiedy trzy lata wcześniej dostrzegł ją w galowym mundurku podczas obozu Związku Niemieckich Dziewcząt**, na którym znalazł się jako kombatant wojenny, by opowiadać młodym o Wielkiej Wojnie i wielkiej odwadze niemieckich żołnierzy, ciągnęło go do niej. A przecież dzieliła ich przepaść pokolenia, ponad dwadzieścia lat. Ta różnica

* Kriegsmarine (niem.) – obecnie marynarka wojenna Trzeciej Rzeszy.

** Bund Deutscher Mädel (niem.) – żeńska sekcja nazistowskiej organizacji młodzieżowej Hitlerjugend.

nie przeszkadzała mu jednak wypatrywać jej na targu, w kościele, pośród młodych dziewcząt nad stawem w parku.

Zerkał na nią tak zachłannie, tak zaborczo. Czasami zagadywał, ale ona, onieśmielona jego wiekiem, do rozmowy skora nie była. Uprzejmie odpowiadała, kłaniała się z daleka, bo wiedziała, że tak trzeba. Ale nic ponadto.

Obojętne zachowanie młodej Frommhagen czasami irytowało go do tego stopnia, że krew w nim wrzała. Zaczęła się wtedy na nią, jakby była zwierzyną. Podążał jej śladem, tropił, pragnąc upewnić się, że nie zlega z byle wieśniakiem. Tego by nie zniósł. Ale nigdy z żadnym jej nie nakrył i sam coraz bardziej jej pożądał, choć wiedział, że nigdy nie posiędzie jej ciała. Bo nie mógł. Bo Wielka Wojna go okaleczyła i oszpeciła, zwłaszcza okolice łędzwi. Sprawiała, że sam nie potrafił na nie patrzeć, a i fizycznego spełnienia też poczuć nie dał rady. Fantazjował jednak, i to w sposób znacznie silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej, wręcz obsesyjny. Raz rozpedził się w tym fantazjowaniu. Stała wtedy nieopodal Stettiner Tor*. Zmierchało. Wokół nie było nikogo, jedynie oni. Wilhelm zaszedł ją od tyłu i niby w zabawie objął niestosownie mocno i niestosownie blisko bioder. Odkoczyła jak oparzona.

– A coś ty taka dzika? – zapytał.

Spojrzała na niego swoimi sarnimi oczami.

– To żarty, żarciki przecież – tłumaczył.

– Proszę tak nie żartować. To nie przystoi.

– Ty mi nie mów, co mnie przystoi, a co nie – burknął.

– Źle mnie pan zrozmiał. To mnie nie przystoi znajdować się tak blisko pana – odparła odważnie.

Halterman zmierzył ją wzrokiem. Nie spodziewał się takich słów, ale w duchu przyznał, że mile go ta jej zadziorność zaskoczyła. Przełknął ślinę, bo z tego zachwyty aż w gardle mu zaschło, ale dla pozorów zrobił groźną minę.

* Stettiner Tor (niem.) – obecnie Brama Szczecińska (zachowana w części).

– A tak w ogóle, co tu robisz po zmroku? Sama?

– Czekam.

– Na kawalera jakiego?

– W pewnym sensie.

– To znaczy? – zdenerwował się i Ingrid od razu to dostrzegła. Jakiś nerw w jego oku, jakąś wściekłość.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo z bramy po przeciwnej stronie ulicy wyszedł postawny mężczyzna w średnim wieku.

– Ingrid! – zawołał surowo.

– Przepraszam, to mój wuj – rzekła do Wilhelma. – Z nim byłam umówiona.

Halterman poczuł ulgę. Odprowadził Ingrid wzrokiem, a kiedy zniknęła z pola widzenia, poprzysiągł sobie, że kiedyś ta piękna dziewczyna będzie jego. Za jej osobistą zgodą lub bez.

△▽▲▼△▽▲▼△▽

Niosąc ją na rękach piaszczystą drogą, przypomniał sobie o złożonej nie tak dawno przysiędze i zrozumiał, że los, podsuwając teraz Ingrid, wyraźnie mu sprzyja. Postanowił więc to wykorzystać i już nie wypuścić jej z rąk. Myślał, że nie będzie to łatwe, że trochę potrwa, a jego sakwa znacząco ucierpi, ale cóż. Tymczasem Ingrid miała stać się jego za darmo, i to już za moment.

△▽▲▼△▽▲▼△▽

Przekroczywszy próg domu, Wilhelm nakazał służbie zająć się nieoczekiwanym gościem. Przebrać dziewczynę, umyć, nakarmić i zakwaterować w gościnnej sypialni. Potem posłał po doktora.

– Wszystko z nią dobrze? – zapytał po badaniu.

Medyk pokiwał głową.

– Jest wycieńczona i zdaje się, że ma anemię. Przepisałem leki, ale nie wiem, czy ją na nie stać.

– Niech pana o to głowa nie boli. Coś jeszcze?

– Nie jadła. Chyba ze dwa dni. Proszę ją nakarmić. Na początek czymś cienkim, niezbyt tłustym, i przypilnować, by na pewno zjadła.

– Zje. Osobiście sprawdzę.

Doktor zmarszczył brwi, jakby zdziwiony, i odchrząknął. Halterman się zreflektował i wyciągnął pieniądze.

– Nie, nie o zapłatę mi chodzi – stwierdził. – Dlaczego trafiła do pana? Ingrid Frommhagen tu nie mieszka.

– Nic panu do tego. – Wilhelm wcisnął lekarzowi do ręki zapłatę z sowitym napiwkami.

– Muszę wpisać adres na recepcie.

– To wpisuj pan mój. Chyba znasz?

Doktor mruknął pod nosem, zanotował dane na kartce i wyrwał ją z bloczka.

– Jeśli ta anemia się utrzyma – podał Haltermanowi papier – trzeba będzie położyć pacjentkę do szpitala.

– Zajmiemy się nią dobrze. Szpital nie będzie potrzebny.

– Wolałbym szpital, bo samo zapewnienie może nie wystarczyć. Nie chodzi przecież tylko o panienkę Ingrid... – Lekarz w szczególny sposób wymówił słowo „panienkę”. – Ale i o dziecko. Może je stracić.

Wilhelma zamurowało. Zaczął pospiesznie mrugać, a potem kilka razy pokiwał głową.

– Tak, tak... – odezwał się w końcu, ale jakoś tak piskliwie, niewyraźnie. Ścisnął ramię doktora i skierował w stronę służby, co było jednoznaczne z pożegnaniem. – Jak rzekłem, zajmiemy się nią. Lepiej niż w tym waszym przybytku.

Po wyjściu medyka opadł na obite cielecą skórą krzesło w swym wytwornym gabinecie. Zazwyczaj czuł się w nim jak lew, lecz teraz sam sobie zdawał się myszą. Mały, skurczony i na wskroś zaskoczony wiadomością od doktora.

„Ingrid Frommhagen, piękna Ingrid, była przy nadziei...”

Halterman zapalił papierosa, wstał i podszedł do okna, odprowadzając wzrokiem odjeżdżającego czarnym oplem doktora, a później

patrzył za służącym, który zamykał bramę. Nieustająco na niego warczał. Tym razem jednak Wilhelm nie pomyślał o otwarciu okna i zelzeniu odźwiernego. Że za wolny, że niedokładny i że go wyrzuci z roboty na zbity pysk. Nie, nie zrobił tego, bo niby na niego patrzył, ale w rzeczywistości go nie widział.

W gabinecie spędził dobry kwadrans, po czym udał się do Ingrid. Droga na piętro była chyba najdłuższa w jego życiu. Po słowach, które usłyszał, próbował ochłonać i jednocześnie układał w myślach przemowę.

Otworzył drzwi. Widząc go, Ingrid natychmiast wstała i wyprężyła się jak struna. Natknął się na jej wzrok. Smutny wzrok zranionej sarny.

– Przepraszam za kłopot – wyszeptała.

– Usiądź, proszę – powiedział łagodnie, a ona go posłuchała.

Wilhelm z troską otulił jej kolana kocem, pogładził po ramieniu i sprawdził dłonie. Były ciepłe.

– Nie chcę robić trudności. Pójdę już. Ubrania wypiorę i oddam.

– Nie trzeba. Możesz je wziąć. Są po mojej... Nieważne zresztą.

– Dziękuję, ale naprawdę muszę już iść. Ciotka na pewno mnie szuka.

– Wie, żeś u mnie. Posłałem wiadomość. Ale nie byłaby zadowolona ani ona, ani wuj, gdyby dowiedzieli się, żeś próbowała sobie życie odebrać – wypalił. – I żeś w ciąży.

Dziewczyna spurpurowiała, z jej oczu popłynęły łzy. Rzewne, szczere łzy.

– Nie becz. Który ci to zrobił?

Ingrid przetarła oczy i przeczesła palcami jeszcze mokre włosy.

– Za boską ingerencją to się chyba nie odbyło, co? – rzucił odrobinę złośliwie i zaraz pożałował, bo Ingrid spuściła głowę i posmutniała jeszcze bardziej. – Nie chciał ślubu? Z tobą? Taką ładną, młodą?

– To nie tak.

– A jak?

– Nie mogę powiedzieć.

Wilhelm ujął ją za rękę.

– Mnie możesz. Ja zrozumieć.

Ingrid załała się łzami i długo nie mogła opanować. Wilhelm gładził ją po włosach.

– Sama tego nie rozumiem. Pan też nie rozumie.

– Mam na imię Wilhelm i tak się do mnie zwracaj, Ingrid.

Nie patrząc na niego, jakby ze wstydu, pokiwała tylko głową.

– Ze mną możesz o wszystkim rozmawiać – dodał. – Mam trochę więcej lat od ciebie i rozumiem. Wszystko rozumiem. Naogłądałem się w życiu. Na wojnie byłem.

Ingrid znów skinęła głową i nie patrząc na Wilhelma, zaczęła dukać.

– Na tym ostatnim obozie... było inaczej. Od samego początku. Wszyscy jacyś napięci, wybuchali z byle powodu. Chłopacy ciągle się bili, dziewczyny kłóciły. O wszystko, dosłownie. O to, która ma większy biust, a która bardziej umięśnione nogi, która ma nieść sztandar, która ma iść na przodzie, a która na końcu. Głównie jednak o to, która z którym pójdzie do łóżka. Ja nie chciałam z żadnym, ja chciałam tylko z miłości i dlatego wytykali mnie palcami. Dla dziewczyn liczyło się tylko to, ile chłopak ma wzrostu i ile zrobi pompek. Czy ma niebieskie oczy, blond włosy albo chociaż jasną cerę i szczupły nos. Jak szybko biega albo czy wygrywa na pięści. Takich sobie wybierały. W naszym pokoju każdej nocy byli chłopacy. Czasami jeden z kilkoma po kolei, a czasami kilku po kolei z jedną. Po wszystkim dziewczyny do rana leżały z nogami w górze, „żeby dać dziecko Führerowi”, tak mówiły. Ja nie chciałam i dlatego ostatniej nocy zgotowały mi piekło. Przywiązały do łóżka, zakneblowały usta i zwołały wszystkich chłopców, którzy wcześniej z nimi byli. I oni... Każdy z nich... Każdy po kolei, a niektórzy więcej niż raz... – Głos Ingrid się załamał.

Wilhelm pogładził ją pocieszycielsko po dłoni. Odchrząknęła i nie podnosząc głowy, mówiła dalej:

– Kiedy oni to wszystko robili, moje koleżanki dopingowały ich, jak na jakichś zawodach. Myślałam, że umrę. Z bólu. Ze wstydu. Ale nie umarłam. Po wszystkim ktoś rozwiązał mi ręce. Leżałam bez ruchu, nie wiem jak długo. – Ingrid ukryła twarz w dłoniach. – Dziewczyny wybiegły z pokoju, chłopcy też, a ja zostałam sama. Cała we krwi. Następnego dnia wstałam przed świtem. Wykąpałam się, uczesałam włosy, ubrałam odświętnie i udawałam, że nic się nie wydarzyło.

– Podaś mi ich nazwiska, a ja ich znajdę – rzekł twardo Wilhelm. – Wyciągnę konsekwencje, nie martw się.

Sięgnął po papierosa i zapalił.

– Nie. Niczego nie podam – stwierdziła Ingrid zasadniczo.

– Muszą odpowiedzieć za swoje czyny. Skrzywdzili cię.

– Skrzywdzili, ale nic tego nie zmieni. Żadna kara nie wróci mi tego, co straciłam. Nie chcę mieć z nimi do czynienia. Nie chcę ich nigdy widzieć. Nigdy więcej nie wrócę do szkoły, nie pojedę na żaden zlot, choćby mnie ciotka z wujem mieli na bruk wyrzucić, choćby mnie to życie kosztowało. Nigdy. Spaliłam swój strój i nie zamierzam nosić nowego.

Przez chwilę milczeli. Wilhelm wstał i podszedł do kredensu, żeby strzepnąć popiół do popielnicy.

– Jesteś pewna, że to wtedy zaszłaś w ciążę? Na zlocie? – zadał w końcu pytanie, które od dłuższego czasu w nim wybrzmiewało.

– Nie ma innej możliwości. Bo ja nigdy... – Głośno przełknęła ślinę. – Nigdy z nikim... – Złapała się za głowę. – Boże, jak ja powiem to wujostwu?

– Normalnie powiesz. Każde dziecko Rzeszy jest cenne i nikt nie ma prawa rzec ci złego słowa.

– Ale moja ciotka jest...

– Twoja ciotka też to wie i jeśliby choć słowem cię zbeształa, zostanie ukarana.

– Nie zna pan... Nie znasz jej, Wilhelmie – poprawiła się.

– Chętnie więc poznam i powiem jej do słuchu. A tymczasem mów, co zamierzasz.

– Nie wiem... – Pokręciła głową, a on ponownie usiadł obok niej. – Ja nic nie wiem. Jeśli ciotka z wujem mnie najpierw nie zabiją, a pozwolą urodzić, to potem zabiorą mi dziecko. Na pewno zabiorą... – Zaniosła się płaczem.

Wilhelm objął ją ramieniem i mocno przytulił.

„Będzie łatwiej, niż przypuszczałem... – pomyślał. To, za czym gonił, a raczej ta, za którą gonił, sama zjawiała się w jego progach i sama podała mu siebie na tacy. – Już nie odejdzie. Nie ma dokąd... Będzie moja. Moja...”

– Ale może i lepiej, że zabiorą... – chlipała Ingrid. – Ja nie wiem, czy dałabym radę wychować sama dziecko... No bo kto mi pomoże? Na spotkaniach mówili nam o tych domach dla młodych matek, ale czy mnie wezmą? Bo ciotka na pewno nie... Przytułek mnie czeka albo gorzej...

Wilhelm pozwolił jej się wygadać. Chciał, by mówiła, by snuła coraz gorsze scenariusze, by widziała się w coraz bledszym świetle. Z każdym słowem jego przewaga rosła.

– Mam propozycję – rzucił, kiedy skończyła. Podał Ingrid chusteczkę, a ona otarła oczy i policzki. – Jeśli się zgodzisz – zaczął łagodnie – jutro ogłosimy zrzekowiny, a za miesiąc weźmiemy ślub i rozpowiemy o dziecku. A jak je powijesz, o przedwczesnych narodzinach.

Ta propozycja oszołomiła Ingrid. Dziewczyna wpatrywała się w niego pełnym niezrozumienia wzrokiem, nerwowo poruszając ustami.

– To chyba lepsze od opowieści o topielicy z jeziora, co? Od życia w przytułku albo pod mostem?

Ingrid nadal milczała.

– No... Powiedz coś! – ponaglił ją.

– Ale...? Ale dlaczego pan... Dlaczego to robisz? – spytała cicho.

– Bo jestem dobrym człowiekiem.

Ingrid uklękła u kolan Wilhelma, ujęła jego dłoń i ucałowała ją, a potem przytuliła ją do policzka. Mężczyzna poczuł, jak gorący dumy rozlewa się po jego ciele. Takiego zachowania oczekiwał. Dokładnie takiego.

△▽▲▼△▽▲▼△▽

Jak postanowił, tak zrobił. Od następnego dnia adorował młodziutką Ingrid, prowadził się z nią ulicami Pyritz, spacerował alejami Bürgerparku*, przysiadł z nią w kawiarence, zabierał do kina. Nie przesadzał z umizgami, nigdy bowiem nie należał do wylewnych, ale obdarowywał kwiatami i czekoladkami. Kupił suknie, palto, organizował przejażdżki wykwinną, sprowadzoną z samego Wiednia bryczką. Poznał jej ciotkę i wuja i przeprowadził z nimi długą rozmowę. Ciotka wyszła z niej z błyskiem w oku, wuj zaś z nabożnością głaskał się po wypchanej kieszeni.

Dziwiło to znajomych Wilhelma, bo pozwalał Ingrid kierować swoim najlepszym mercedesem. Od zawsze chciała nauczyć się prowadzić, ale nigdy nie miała sposobności. Po zmierzchu nie pozwalał, bo raz się nie sprawiła, za dnia zaś i owszem.

– Ma dar – wyznał szczerze raz, podczas zakrapianej partyjki pokera. – Aż trudno uwierzyć, że kobieta pojmuje ten fach. Mówię wam, zrobię z niej kierowcę.

I rzeczywiście zrobił, bo Ingrid w lot nauczyła się jazdy autem, a Wilhelm w duchu musiał przyznać, że prowadziła lepiej niż niejeden mężczyzna. Na głos jednak tego nie wypowiedział, choć i tak wiele dobrego o niej wtedy mówił, a ludzie ze zdziwienia przecierali oczy.

– W końcu kogoś ma. Przestaną mu głupoty po łbie chodzić – mawiali nieliczni.

– Stary cap nie powinien o młódkach myśleć – plotkowali inni. – Ledwie osiemnastka, a on? Mógłby być jej ojcem.

* Bürgerpark (niem.) – obecnie park koło Stawu Złotej Rybki.

– To se sierotę przygruchał! Słyszałem, że naobiecował jej hektarów, bo za darmo z nim nie chciała – strzępili język przy piwie, koloryzując okoliczności.

Do Wilhelma wszystkie te głosy dochodziły, bo donosicieleli miał wielu, ale nie zważał na komentarze. Liczyło się, że zdobył, co zaplanował. Dużo myślał o ciąży i dziecku, które nosiła Ingrid. Nikt mu już nie odbierze ojcowskiej satysfakcji, nikt nie zakwestionuje, że ma potomka. Że on, wielki i zamożny Wilhelm Halterman, ma dziedzica! Tylu z niego dworowało, tylu wytykało brak dzieci. Przecież Wódz był przeciwny bezdzietności, w pewnym sensie bezdzietność karał, a on? Ani żony, ani dziecka. Chciałby, marzył – i o jednym i o drugim, ale co najwyżej mógł zaciskać pięści, bo dziecka spłodzić nie był w stanie, a ośmieszać się przed kobietą nie zamierzał. W oczach ludzi wojna odebrała mu nogę. Nikt w Pyritz nie wiedział, że wyrwała z jego ciała coś dla niego najważniejszego, męskość, jednocześnie nie pozbawiając chuci, a wręcz ją wzmacniając. I to wcale nie do kobiet dojrzałych, o bujnych kształtach, a do drobnych i niepozornych.

Teraz miał u swego boku właśnie taką. Pełnoletnią, ale z urody dziewczuszkę młodziutką, drobną. Dwadzieścia trzy lata młodsza Ingrid będzie jego żoną!

Ludzie przestaną gadać. Teraz na pewno.

△▽▲▼△▽▲▼△▽

Gdyby tajemnica Wilhelma wyszła na jaw, jego życie zmieniłoby się na gorsze, a plany dotyczące kariery zawodowej ległyby w gruzach. Bycie wdowcem nie oznaczało niczego złego ani niespotykającego, ale bycie mężczyzną bez łędźwi, bez szans na potomka, stawiało go w podłym świetle. Przez wiele lat próbował wślizgnąć się w polityczne struktury, zdobyć stanowisko we władzach. Bezskutecznie. Wilhelm wierzył, że to z powodu wdowieństwa i bezdzietności. Przez to drugie zresztą bardziej. Bo czego więcej mogło mu brakować?

Wcześniej stronił od kobiet, które w różny sposób próbowały go usidlić, odsyłał swatów. Nie zamierzał pokazywać się żadnej w negli-

zu, ale z Ingrid mógł zagrać tak, jak chciał. Czuł, był pewien, że dobra Ingrid okaże mu zrozumienie. Długo zastanawiał się, jakich słów użyć do wyjawienia jej tajemnicy i kiedy w końcu ułożył wszystko w głowie, a było to tydzień przed ślubem, ze strapioną miną usiadł obok niej w saloniku i zaczął mówić.

– Wiesz o mnie wiele, wiele jeszcze się dowiesz, ale o jednej rzeczy chciałbym, byś dowiedziała się teraz. To dotyczy mnie jako mężczyzny. I tych spraw... No... W sypialni.

Ingrid wzięła go za rękę i przycisnęła ją z miłością do swojego policzka.

– Nie jest mi łatwo, bo to bardzo intymna sprawa, ale skoro mamy być mężem i żoną...? – kontynuował, badając jej reakcję.

– Mnie możesz o wszystkim powiedzieć, Wilhelmie.

Spodziewał się takich słów.

– Obiecuj, że nigdy nikomu nie powiesz o tym, czego za chwilę się dowiesz.

Ingrid skinęła głową.

– Obiecuj.

– Obiecuję, Wilhelmie. Za tydzień będę twoją żoną, wejdę do twojej sypialni i żaden intymny szczegół nie będzie mi obcy.

– Właśnie. Mnie chodzi o ten intymny szczegół, jak się wyraziłaś. Bo... Kiedy wejdiesz już do mojej sypialni, nie będziesz w niej sobą... Bo ja... Po wojnie... Kiedy odłamek we mnie trafił, straciłem nie tylko nogę, ale znacznie więcej. Wyrwało mi kawał bebechów...

Ingrid zareagowała dokładnie tak, jak chciał – wydała z siebie ciche i zbolełe westchnienie.

– Nie myślę tu o żołądku, wątrobie czy co tam jeszcze jest. Z tym było nie najgorzej, ale... – Teatralnie przełknął ślinę. Na gładkim czole Ingrid pojawiła się długa zmarszczka. – Ci pieprzeni Polacy wyrwali mi to, co u mężczyzny najważniejsze... – Wykonał kolisty ruch ręką przy lędźwiach. Ingrid uniosła brwi. – I o mało nie straciłem życia, choć Bóg mi świadkiem, że były chwile, kiedy wolałbym zdechnąć.

– Bardzo ci współczuję cierpienia, które musiałeś znieść – powiedziała łagodnie. – Jeśli mogę jakoś ci ulżyć...?

Wilhelm odkaszlnął kilkakrotnie, a potem niepewnie na nią spojrział. I wtedy już wiedział. Wiedział, że osiągnął wszystko, czego chciał.

– Nie, nie możesz... Chociaż...? Chociaż jednak chyba tak. Bo... Kiedy już będziemy mężem i żoną, to zaproszę cię do swojej sypialni, jak przystało na małżeństwo – mówił powoli, cicho, a ona, nieco zawstydzona, słuchała. – Ale przez to, co mi się przytrafiło, nigdy nie będę w stanie dać ci tego, o czym mogłaś słyszeć od kobiet, że dostają. Albo o czym gdzieś przeczytałaś. Rozumiesz, co mam na myśli?

Subtelnie pokiwała głową.

– Nie będę mógł z tobą... No wiesz... Bo...

Ingrid przyłożyła do jego ust dwa palce, jakby nie chciała, by jej się tłumaczył. On ucałował jej dłoń, a ona poczuła wzruszenie. W jej oczach pojawiły się łzy.

– Będę twoją żoną, zgodziłam się na to. I zostanę nią na dobre i na złe, w każdych okolicznościach, bo wierzę w małżeństwo. I to, co inni robią w swoich sypialniach, nie jest dla mnie ważne. My będziemy mieć swoją i będziemy w niej robić to, co jest nam pisane. Biorę cię na męża takim, jaki jesteś, ze wszystkim, co masz i... czego ci brakuje. Tak samo, jak ty mnie wzięłeś, nie pytając o to, co mam ani czego mi brak, bez stawiania warunków... – powiedziała szczerze i z oddaniem, a Wilhelm pomimo wcześniejszej pewności poczuł się dziwnie.

Usiadł do tej rozmowy z wyrachowaniem i przekonaniem co do tego, jak ona przebiegnie. Wiedział, że Ingrid na wszystko się zgodzi, czuł to od samego początku. Bo z jej oczu biło dobro, z jej ust szczerść, a z gestów łaska. Wiedział, jak będzie, a teraz, gdy jego przewidywania się sprawdziły, poczuł... wyrzuty sumienia. Szlag! Nie chciał ich czuć, a mimo to poczuł.

– Jest jeszcze coś, co... To, co powiedziałaś... Ja będę chciał, żebyś jednak zjawiała się w mojej sypialni, bo jestem mężczyzną, mam potrzeby, ale...

Ponownie zamknęła mu usta dłonią.

– Nie musisz niczego mi tłumaczyć, Wilhelmie. Niczego. Będę twoją żoną i przyjdę do twojej sypialni zawsze, gdy będziesz chciał. Taka moja rola i taka moja wola. Będę ci to ślubowała i słowami, całym ciałem i sercem.

Wilhelm ucałował jej dłoń, a ona pomyślała, że jeśli mąż zawsze będzie okazywał jej taką czułość, to jest szczęściarą.